



## Lech Charewicz

## część VI z VII

Sygnatura notacji: **N1369**

Data urodzenia: **20.06.1935 r.**

Data nagrania: **27.06.2019 r. , 28.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 63 min, część III: 47 min,  
część IV: 41 min, część V: 45 min, część VI: 63 min,**

Format nagrania: **video** **część VII: 35 min**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Lech Charewicz:** W 1950 roku trafiłem w gimnastycznej koszulce, ze świadectwem bardzo dobrym na ulicę Spokojną 13, gdzie dyrektorem był Zbigniew Pękoślawski, założyciel Związku Polskiego Polskich Artystów Fotografików, fotografik, polonista, jego żona Irena, profesor Młocki, inżynier Dederko, profesor Sołtan, profesor Zaleski, profesor Pełczyński. Szkoła, budynek wybudowano w 30. latach późnych, parkiet, łazienki, akwaria, paprocie, warunki bardzo dobre, tylko nie miałem. Dostałem, zdałem egzamin, zdało nas 57, maturę zrobiło 23 osoby, było 15 chłopców, 4 skończyło. Mietek Teterycz ustawiał światła do korekcji, jak jeszcze automatu nie było, photoshopów i innych, do filmów jak była „Przygoda na Mariensztacie”. Stasiek Warzocha i Bolek, kierownik kontroli technicznej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, a ja trzymałem się zębami, trzymałem się aparatu fotograficznego i fotografii jako takiej. I skończyłem na wyciskanym smalcu albo margaryną taką, która spadała z chleba, od 1950 do 1954 roku, jeżdżąc gdzieś przyczepiony do tramwaju z Ochoty na Spokojną. Skończyłem z wynikiem 4,55, zrobiłem maturę i zacząłem pracę zawodową, bardzo ciekawą. Kolega starszy pracował w Centrum Badań i Uzbrojenia w Zielonce, przedwojennej instytucji technicznej Wojska Polskiego, nie żadnej politycznej, gdzie się skupiali naukowcy, przedwojenni jeszcze Polacy, których rugowano i zastąpiono specjalistami ze wschodu. Ale tam dostałem właśnie możliwość z kolegą, do którego... do dzisiaj z Jankiem Siekierskim jestem w przyjaźni. Był pianistą, łóżko, numerki do kasyna i rozpocząłem pracę fototechnika. Wymagania były wyjątkowe, bo ktoś tak mówi, a fotograf, to zdjęcia do pasa, do legitymacji albo do pierwszej komunii. A dzisiaj już można powiedzieć, bo to nie jest nawet na mapach tajne, że z punktu zero były próby poważne pod Stanisławów, walka pocisku z pancernem i tam na aparaturze niemieckiej AEG w latach 50. ja, absolwent Spokojnej, wykonywałem zdjęcia z szybkością 50 tysięcy zdjęć na sekundę. Zawsze zwycięża pocisk, 20 metrów taśmy leciało do wora, dosłownie, i na odcinku kilku centymetrów był ten efekt, i był ten efekt. Robiono

na tym prace magisterskie, ja to obsługiwałem, byłem racjonalizatorem, bo jak przeleciało „Superpanu” 30-40 metrów do wora, bo to się nie zwijało, tylko leciało do wora, to były duże finansowe nakłady. Ja wykombinowałem, że można doklejać blank, czyli taśmę już zużytą, a sprawną technicznie i na tym kawałku, który właśnie miał efekt następować. Ale musiałem być cicho. Byłem tak zwanym pracownikiem cywilnym, obserwowanym. I nastąpiła propozycja, a jeszcze przedtem byłem tak zakochany w fotografii, kończąc tę maturę to nie jest dla picu, tylko to jest pamiątka po mojej matce, która ofiarowała mnie właśnie na tę maturę. Tych matur w rodzinie nie było tak dużo przed wojną. Także dla mnie w 1954 roku, kiedy jak dziś widzę, rodził się podwójny prezydent, pan Aleksander Kwaśniewski, to ja już miałem tę dużą maturę. I pani Pękostawska pyta się wtedy: „Leszek, co dalej?”. A ja mówię: „Chciałbym się uczyć.”, ale była tylko Łódź, Targowa 61. Reżyseria, operatorski i tam historia filmu. Ja na Mikołajki dostawałem czasami jakąś książkę czy prezent i tam pisało: „Przyszłemu słuchaczowi Akademii Sztuk Pięknych”, bo mam łatwość w rysowaniu, manualnych tych rzeczach. No, ale zdawałem do tej Łodzi. Na Puławskiej, Centralnym Urzędzie Kinematografii była lista 420 kandydatów: 120 wybrali, 27 zdawało i 7 się dostało. Niektórzy po kilka razy zdawali. Na reżyserię trzeba było mieć polonistykę, akademię sztuki lub historię. Na operatorski nie, ale teczkę prac. Mam do dzisiaj opinię docenta Ancuty, fotografa, filmowca powstańczej Warszawy, jak tam zdawałem: „Pełne opanowanie warsztatu, bardzo wysoki poziom artystyczny”. Nie chwalę się, ale do dzisiaj, co mam udokumentowane, Pan Bóg dał mi zmysł takiej obserwacji świata, że codziennie fotografuję i jak jesteśmy na plenerach czy ewentualnie na innym towarzyskim takim fotograficznym: „Popatrz”, mówi, „Lechu ma zdjęcia, a ja byłem tam blisko niego i tego”. A kolega życzliwy, już niestety nie żyje, Roman Jerzy, mówi: „Bo Lechu ma serce z właściwej strony, a ty masz oczy z korka, tak że on ma zdjęcia”. No, coś w tym jest, może się chwalę, ale...

**Tomasz Sikorski:** Nazwisko jeszcze.

**Lech Charewicz:** Czyje nazwisko?

**Tomasz Sikorski:** Tego, którego wymieniłeś.

**Lech Charewicz:** Roman Jerzy? Jego syn teraz na Karaibach hotel prowadzi, bardzo fajny facet. Kolega miał pięknego Fiata. „Jedziemy, Leszek, na zdjęcia. Gdzie tylko się zatrzymasz, to ja staję. Ty robisz i ja robię”. No i tak było. Ale to już było. I wiecie, ten mój dyrektor, ksiądz Bronisław Dąbrowski, biskup Choromański powołał go na sekretarza, i był długie lata sekretarzem Episkopatu Polskiego. Zmarł w 1998 roku, mając lat 80. Z 1918 roku był. Ale trafiłem tam właśnie na Barską. To była tak silna drużyna harcerska. I chłopcy, którzy byli tam w czasie okupacji i w czasie powstania. Jak ich aresztowano, wpadli Niemcy do Antonina, do budynku. I tam leżeli w refektarzu ranni i Polacy, i Niemcy. Ranni Niemcy, żołnierze. I Ochotę mordowano. I ten jeden właśnie, co już to jest opowieść, kilka razy mi się powtarza ten fakt, gdzie indziej, ten jeden Niemiec, oficera wezwać i mówi: „Oni nas traktowali tak jak swoich.” i mówi, oficer wycofał tych od Kamińskiego czy innego tam nygusa, z Zieleniaka, co tam straszne rzeczy się działy i oni ocaleli. A ksiądz Dąbrowski był z innymi jako zakładnik w akademiku przetrzymywany. No i tutaj już nie będę tam opowiadał, w każdym razie wywiezienie. Mówi, nigdy nie będzie jadł zup Knorra, bo byli w fabryce i widzieli, z czego to się robi, jak to się robi. I z tego tak że to pamiętam jak ksiądz Batory opowiadał i w baraku, jak ten chorowity był, Bronisław Dąbrowski, wtedy jeszcze kleryk przed powstaniem i mówi: „Broniek, ty nie umieraj, a z ciebie biskupa wyniańczę”.

I stało się, że właśnie ten arcybiskup Dąbrowski Antoniaków zapraszał. Do dzisiaj trzymamy sztamę, są pułkownicy, są lekarze, są artyści, operowi, są śpiewacy, Najda, nie Najda, różni koledzy. No niestety profesor Mierzejewski w Łodzi, jak już było kilku i do dzisiaj nie zapomnę pytać: „Proszę scharakteryzować twórczość Bernarda Malmuda”. Cisza. Ja nie słyszałem o takim, o Wołodajowskim to coś bym powiedział, o Makuszyńskim czy Przybyszewskim, ale tego Bernarda nie znam. „Proszę nakreślić różnicę w narracji między źródłem a pierwszą zmianą”. „A co chciał artysta powiedzieć przez to?”. Wyszedłem z tego egzaminu ostatniego, już trzymałem się zębami do ostatka. Tam już było mało, z tych 400 to już tam nas zostało kilkunastu. No i niestety. Jestem w tym pokoju na Cieszewskiej w akademiku i facet, który miał polonistykę skończoną, drugi raz tu zdawał, w Gdańsku mieszkanie sprzedał, gdańskie meble sprzedał, powiedział, że na reżyserię dostanie się na bank, nie dostał się. Ale za to mamy radochę, bo zdawałem razem z Romkiem Polańskim. Nie wiem jaką on tam miał maturalną przeszłość, bo też miał dzieciństwo wiejskie, ale dostał się na reżyserię i jest wspaniały. Tak że mam tylko te wspomnienia, no a tam o resztę w detalach, że on był zawsze pełen tupetu, pełen życia. Jak kręcili „Pianistę” i były obchody w getcie warszawskim, tam byłem przy pomniku, podał mi rękę, to szef wielkiej agencji fotograficznej, którzy chcieli mieć werk fotosy z planu, a tam nie wolno było nikomu tego robić, to do mnie się zwrócił, mówi: „Ty znasz Polańskiego...”, to mówi: „Załatw, żeby tam fotograf poszedł i porobił trochę tych zdjęć”. Ja mówię: „Słuchaj, że on mi rękę podał, to nie znaczy, że ja go mam za kolegę, a on mnie”. To już jest przepaść. Ja przetyrałem tymi rękoma cały szereg bardzo ciężkich fotograficznych prac. Mając bardzo duże archiwum własne, zdjęć, przyjaźnią obdarzył mnie Krzysiek Burnatowicz, czołowy architekt, wystawiennik Polski. I on chwalił się do swoich kolegów, mówi: „Ja mam takiego fotografika, co...”, mówi: „Do niego pójde, zobaczę w albumach, to ja mam”. Do Szymanowskiego, do Kochanowskiego mam zdjęcia, mam gałęzie suche, mam zimę. Jeśli pani Telakowskiej robiło się wystawę o tkaninie, to ja mam pastuszków takich w koszulkach, gdzieś tam w Kluskowskich góralskich, to u Lecha ja wszystko znajdę. A Lecho robi dwa metry na dwa, w sepi albo na płótnie, w pracowni tej, którą jeszcze do dzisiaj mam. Utrałem się z żoną własną, na mokro wszystko, tak jak tutaj kolega mówi. Odbielanie, sepiowanie i tak dalej, i tak dalej. Ale radocha była, bo Dom Kopernika w Toruniu, miałem przyjemność być zaangażowany na otwarcie domu w Lusławicach u pana i u pani Pendereckiej. Fotografowałem na beatyfikacji księdza Orione, a z kolei pracując na wyższej uczelni, prowadziłem pracownię, chyba jedną z najlepszych, w Wojskowej Akademii Technicznej, u nieodżałowanego profesora, wspaniałego profesora Kaliskiego, twórcy polskich laserów. Dzięki niemu może mam te oczy, które widzą tak ostro, że się mój optyk dziwi, że najniższe litery czytam z daleka, tam 6, 5 na tym zegarze, po zaćmie, po laserach, po tym. Miałem kilka operacji, a byłem świadkiem właśnie i wiadomości, i zdarzeń w latach 60., kiedy profesor mówił: „Już niedługo będzie płaski telewizor wisiał na ścianie i obraz będzie w kolorach, jeszcze trójwymiarowy”, a ludzie sobie, pułkownicy i inni naukowcy nie wierzyli, że to jest możliwe. A jednak możliwe. A mówią: „Lechu, zapis materiału światłoczułego będzie natychmiastowy, będzie z dźwiękiem do tworzenia natychmiastowego”. Ja mówię: „Nie”. Po praktykach ze Spokojnej, Wytwórni Filmów Dokumentalnych, to jak ja widziałem, że się siedziało w „hałstonie” albo w „ponorce” i na mokro kronikę tam obrabiali, a pracownik UB pilnował, żeby tam sabotażu nie było, bo były stuprocentowe zdjęcia, jakieś tam wizyty dostojnika czy coś, czyli jakby mu się tam zapętlilo, to on by chyba na „Gęsiówę” [więzienie na ul. Gęsiej] trafił, to nie wierzyłem. A dzisiaj siedzę przed cyfrową, wspaniałą, z kolegą ze Spokojnej, operatorem, kamerą i to się wszystko zrealizowało, a ja mam dopiero 87 rok, dobrze zaawansowany. Co dzień fotografuję, dzięki fotografii poznałem wspaniałych ludzi. Mam na Nowym Mieście, na rynku, piękne okienko, ciężko się wchodzi, pod dachówką. Prawie sięgam rękoma sufitu, bo ta adaptacja strychu jest... nic specjalnego, ale tysiąc kosztuje miesięcznie, z emerytury, trudno, ale trudno.

Zacząłem fotografować jak budowano Pałac Kultury, w 1950 roku. Żałuję ogromnie, że nie miałem na film, bo na rogu Spokojnej i Okopowej był mały sklepik, teraz jest galeria fotograficzna i tam były bułki, i można było kupić krakowskiej 10 dkg, a film był drogi i aparat był drogi, wywoływacz trzeba było kupić w menzurce, 200 mililitrów albo 250, i liczyło się papiery na sztuki. A było tyle do fotografowania. I mam taki jakiś żal w środku ukryty, że ćwiczenia, były modele gipsowe, rzeźby, odlewy i oświetlenie. To odbywało się w studio na tych sztucznych tych... a ze Spokojnej była maleńka furta prowadząca na najstarszą część Powązek Warszawskich, zaraz na tyłach kościoła Boromeusza. I przecież można było zrobić małą wycieczkę i tę galerię rzeźby, którą też porównuję z Cmentarzem Łyczakowskim we Lwowie, przecież to jest galeria rzeźby polskiej. Wspaniałe rzeczy. Przypadkowo w 1953 roku... tak, to było w 1953, zobaczyłem klepsydę tam na przystanku prezydenta Wojciechowskiego, jak chowali. Potem z kolegami przez kirkut poszedłem w głąb cmentarza i „Zawisza Czarny” [„Zawisza” - pseudonim Rydza Śmigłego], powiedziano nam, że tu leży Rydz Śmigły. A jeszcze w szkole przeżyłem właśnie tą rzecz, którą uszanował mój przyjaciel Tomek Sikorski i w swojej pięknej książce, tej oto, umieścił właśnie moje to tragiczne wspomnienie. To wracam z Danii, to z krzyżem i o tym krzyżu chciałem powiedzieć właśnie, że wyprowadzono nas niby na gimnastykę, na Spokojnej i zastępca dyrektora był inicjatorem, wracamy i mojej teczki nie ma, jak Kuroń zakładał czerwone harcerstwo, to ja ten krzyż nie mogąc nosić go na piersi, przypiąłem do takiej wszytej przez siebie ze starego tornistra torbie, gdzie miałem swoje kołobloki i kajety. I miałem go przyczepiony pod klapą, nikomu nie pokazywałem, cieszyłem się nim. I przychodzę do klasy i moje kajety leżą gołe, tej teczki nie ma, krzyża nie ma, a gospodarz mówi: „Masz się zgłosić do wicedyrektora”. Tam usłyszałem, że: „Ty matury tu nie zrobisz, bo ty jesteś wywrotowcem” i tak dalej. I zabrał mi krzyż, cierpiałem bardzo, bo wiedziałem, że muszę skończyć szkołę. I po latach, już jako samodzielny pracownik za tysiąc złotych w poważnej instytucji, na Targowej w „Fotooptyce” u pana Henia, zobaczyłem tego człowieka i on mnie mówi: „Pan Charewicz?”. „Charewicz”. A ja mówię: „Proszę pana, pan ma moją rzecz”, „A co ja mogę mieć pana?”. Ja mówię: „Krzyż harcerski numer DN 71”. „A tak”, a ten sprzedawca, zwolniony z wojska oficer, jeszcze w tym ubraniu zielonym, patrzy się, oczy mu wychodzą, co się dzieje w jego sklepie. On mówi: „No to ja muszę zobaczyć, bo ja mam też tam swój”. Ja mówię: „A co, pan był harcerzem?”. „Proszę mnie tu za dwa tygodnie oddać, moją własność!”. A już się cieszyłem w środku, że on istnieje, że on jest, że ja mam ślad. I tak, że się stało, poszedłem i w chusteczce takiej higienicznej odzyskałem ten krzyż. I mam tę pamiątkę. Marzeniem cichym moim jest, żeby jeszcze do tych dobrych Duńczyków, z druchem Tomaszem Sikorskim, nawiązać kontakt z harcerstwem polskim w Danii, żebyśmy sobie powspominali, żebyśmy mogli przekazać te piękne książki, które Tomek napisał, zebrał, na których promocjach byłem, które mam udokumentowane. Zawsze się obawiałem nałożyć opaskę, ale przemogłem to w sobie i jak jestem poza terenem, właśnie w wymienionym Czerwonym Bagnie, czy na Wiźnie, czy gdzieś, to pytają się, czy to jest oryginał. Ja mówię: „Nie.”, taką porcję piękną zrobił ktoś i w sklepiku kupiłem ją w PAST-cie, w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej, gdzie od powstania tego związku służyłem swoim sercem i aparatem, fotografując wskazane przez redaktora naczelnego Sikorę pewne obiekty z mojego archiwum, z moich przeżyć. Także mówiono w redakcji: „Lechu, ty masz 80% rocznych okładek”. Ale przyszedł moment niezaplanowany przeze mnie i dostałem medal Zasłużony dla Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Dzięki fotografii poznałem „Krisa” Brauna, autora zdjęcia pocisku, który wali w drapacz chmur na Placu Powstańców Warszawy. Zupełnie przypadkowo na Chmielnej, w domu Stronnictwa Demokratycznego zobaczyłem, że jest „Warszawa ,44”, wystawa fotograficzna, poszedłem tam, oglądam te zdjęcia, porównuję ulice i mówię: „Ciekawe co autor...”, pani, która tam była dyżurną: „Co z autorem?”. Mówi: „A jest, w następnym pokoju.”, wychodzi wspaniała mężczyzna, właśnie przedstawiam się, on mówi: „Jestem autorem

zdjęć.” „Kris” Braun przyjechał złożyć kości w Warszawie. Ja mieszkam na Muranowie, pracuję na rynku Nowego Miasta, tam mam swoje archiwalia i ten człowiek obdarzył mnie przyjaźnią, powierzył mi swoje filmy, które do śmierci fotografował swoimi Leicami Warszawę i bardzo pięknie. Przekazał ten zbiór do Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy. Ja mu obrabiałem materiał i opowiadał mi właśnie, jak zrobił te zdjęcia. Jak usłyszał te wybuchy, one były z Dworca Wschodniego kierowane, z działa 1,5 tony podobno tej Berty specjalnym dźwigiem, w odpowiednich odcinkach czasu ten pocisk mógł być wystrzelony, a tam na pewno szpiedzy, donosiciele powiedzieli, że się ulokowało w tym gmachu PKO dowództwo powstania, były tam betonowe stropy, ale walili tam ostro. A on mieszkał, „Kris” Brown, na Kopernika i mówi, wszedł na dach, uzbroił swoją Leicę odpowiednio, no i jak ten leciał, raz, drugi, trzeci i to zdjęcie, które jest ikoną powstania, coś pięknego, a jednocześnie strasznego, jak on uderza, jeden z wielu, ale to jest tak, jak w dychę strzelone, tak „mucha nie siada”. I ono było i na znaczkach już. Była niepodległościowa wielka wystawa i Krzysiek dał piękne powiększenie tego zdjęcia. No w ogóle. I właśnie z małżonką i z „Krisem” byłem blisko do ostatka, ale teraz też, stosunkowo niedawno poszedłem do Stowarzyszenia Dziennikarzy na Foksal, na taki wieczór, gdzie jeden właśnie z młodych historyków przedstawiał swoją książkę o powstaniu pod tytułem Obłęd. A profesor Żaryn reprezentował drugi biegun. I w tym obłędzie, młodziź była też na sali, dużo ludzi i taka mowa, że co by było, gdyby było, żeby nie było miasto zniszczone albo tak, no różnie tam i że to tak. A Żaryn twardo, przegrana była, oszukali nas, kto to wiedział, że będzie ta ofensywa wstrzymana. Miało to trwać trzy dni, gdyby nie wybuchło, to by tamci powiedzieli, że my jesteśmy współpracownikami tutaj tych, co tutaj nas gnębili tyle lat i to wszystko znamy, ja nie muszę tego mówić. I mówi, nie ma sprawy, jest honor. I ja uważam dni Powstania Warszawskiego, które zabrało mi hulajnogę na łożyskach, na trzech łożyskach, chlubę. Ulica Wybrzeże Kościuszkowskie miała tylko z zasady asfalt i tam łeb odskakiwał z chłopakami, zazdrościli mi jej. Brat mi zrobił w Rembertowie, Andrzej, na wojskowych łożyskach. Miałem wojsko, ołowiane, całe pudełka. Miałem piękne, rozmaite zabawki swoje, mechaniczne, różne, zbierane, radio na kryształek. Do dziś się dziwię, jak to mogło odbierać, a odbierało, drucik, drucik, kawałek jakiegoś kryształka i grało. Na talerzu na głos. Zabrało mi to powstanie wszystko, ale jednocześnie cieszę się, że mogłem to przeżyć. I że Pan Bóg dał mi zdrowie i zasady, bez żadnego jakiegoś uszczerbku przeszedłem przez to. Potem zawdzięczam bardzo dużo nauczycielom ze Spokojnej, temu właśnie Janowi Młockiemu, pani Rybaczek, ojcu Witolda Dederki, inżynierowi Dederce, wspomniały gumista, wykształcony, mieszkał tam na górze w pokoiku na Spokojnej. Że oni pozwolili mi być fotografem, a nie tak jak zarządzenia chcieli, żebym był w obróbce taśmy filmowej, gdzieś w ciemni albo w wytwórni materiałów światłoczułych u Franaszka, odcięty od świata. Kompleks mój wykształcenia nosiłem w sobie i jeszcze tam mam jakieś resztki w sobie. Bo gdybym skończył jakieś bibliotekarstwo albo szkołę rolniczą w Miennej, albo jakąś inną historię, to fotografia też by się przydała i na pewno bym to skończył, no i co? Ale mogę powiedzieć dzisiaj, że dzięki fotografii poznałem fantastycznych ludzi. Nikt nie wierzy, mówi: „Co Ty gadasz?”. Ja byłem autentycznie z Dzierżykraj-Rogalskim profesorem, z dyrektorem Polakiem, na dwóch pogrzebach Jana Kochanowskiego. Byłem pierwszy, który w Zwoleniu do kościoła wszedł, kiedy po Powstaniu Styczniowym władze carskie kazały zamurować, gdzie były kości Kochanowskich i oni w latach 80. jubileuszowych były poszukiwane przez Kazimierza Boska, redaktora, dziennikarza literatury. I on mnie najął jako nadwornego fotografa. Ja jeździłem z Ryśkiem Kapuścińskim. Henryk Jabłoński, Przewodniczący Rady Państwa, wtedy nie mógł stanąć koło kardynała Macharskiego i dlatego były dwa pogrzeby. Jeden był kościelny, a potem za parę dni był świecki. Ja byłem na obu. Zaangażowano mnie na festiwal do Luśławic. Byłem na otwarciu domu, dworu w Luśławicach. Profesora, matkę poznałem, rodzinę, dzieci. Wyfotografowałem, mam piękne archiwum. Miałem na matejkowskich sztalugach

w parku w Zielenicach wystawę moich prac z pierwszego festiwalu. Pracując na uczelni u profesora Kaliskiego, który w taki sposób tragicznie zginął, do dzisiaj wspominany. Jest na internecie. Dzisiaj wchodzi tam film Gierek. Ja miałem przyjemność fotografować wizytę Gierka w Wojskowej Akademii Technicznej. Właśnie w internecie jest to zdjęcie otwierające o profesorze, jak składa raport. Ja jako fotograf miałem prawo wejścia wszędzie. Profesorowie, naukowcy musieli siedzieć w swoich gabinetach i czekać na kolejkę. A fotograf kocim krokiem... Miałem ładne ubranko, czysty byłem i smykałę, dobrą smykałę. Tak że niektórzy chcieli, moi koledzy, też fotografowie, że on pójdzie, zrobi. No poszedł, zrobił. Profesor miał taki nerwowy przykurcz. Oni takie zdjęcie pokazują, a on mówi: „Co ty pokazujesz? On nas żywi, daje zlecone, mamy możliwość robić artystyczne prace, wystawy, a ty bracie, wiesz, tego nie...”. Tak że przeważnie ja to robiłem. I jak przyjechał, dajmy na to, twórca, noblista Basow na wizytę, sprawdzić, co to Polacy za małe pieniądze robią, jakie wynalazki wielkie, rubiny, nierubiny, lasery. Polak potrafi. No to się szykowało zawsze album. To były zdjęcia ogólne urzędzeń nowoczesnych na tamten czas, bardzo. I cały serwis z obecnej wizyty. Ale jak ja miałem kochany kolego Rolleia dwuobiektywowego, z takim eleganckim planarem i to mój ulubiony „roluś”, to kurcze, tych 6 na 6 negatywów, jak ja włożyłem to na powiększalnik, wariomat, warioskop, jak podniosłem jedną gałkę, to z jednego negatywu mogło się od razu kadrować i tam nie robiłem żadnych pocztówek ani tam 6 na 9, tylko 24 na 30. Taki format na suszarę, intrologator już przygotował, grafik napis, kto to jest, jaka wizyta i tak dalej. I bracie, oni szampana piją, jedzą obiad w kasynie, a tu bracie podarek jakiś, materialny, talerz miedziany albo coś, tylko tam inni przygotowali, i tu ten otwiera, bracie wiesz, no pierwsza akademія tego. A drugi, a on już jest, jak wysiada, jak jest, jak tego. I to zdjęcia takie, tam nie było Polaroidu, że tam za sekundę, bo kiedyś Spychalski się chwalił, byłem w Belgii, mówi, wysiadałem do samolotu, a jeszcze podali mi zdjęcie, mówi, kolorowe, jak ja wsiamam do samolotu, ale to był taki bzdet z Polaroidu. A tutaj został do dzisiaj, to jak teraz robił tam właśnie książkę czy jedną, czy tego, to są, albumy się rozjechały po całym świecie, bo przyjeżdżali, gębę otwierali, co ten Polak robi, jakie osiągnięcia ma, na wszystkie konferencje świata był profesor zapraszany, to z Indonezji, z Belgii, Castro, nie Castro. I to człowiek był przy tym, i nikt mi słowa złego nie powiedział, a inni tam wielcy, tacy jak mój szef już całego oddziału, on mówi: „No, ty to tego tam, jakbyś powiedział profesorowi, to by na Wartburga dostałbyś”. Ja mówię: „Nie mam na Wartburga, nie mam na Syrenę, bo talony były tam, przywileje takie, można było prakkę dostać albo tam coś z tego. Tak że byli w pewnym sensie zazdrośni, o co? O stanowisko fotografa, ale też byli moi pracownicy, nie wszyscy, ale to on tak, od godziny do godziny, szczególnie panie, to one miały tam obowiązek, do dzieci, do tego, do wszystkiego. Ale jak na przykład w sobotę, 6 godzin pracy, przychodzi adiutant profesora Kaliskiego, przynosi taką stertę czasopism, najnowszych, światowych, za dolary kupione przez Bibliotekę Narodową, i tak jak tutaj Tomek zaznaczył, tam gdzieś, pozaznaczane tylko kawałki, że to chce przeczytać profesor, że trzeba mu tego. No to na mikrofilm, na mokro, trzeba to wszystko zrobić. Ja mówię, dobra jest, mówię, słuchaj stary, będzie w poniedziałek. On mówi, co ty, on musi mieć to dzisiaj. Ja mówię, to kiedy, już jest fajrant, mówię, niedziela. Ty się nie martw, a potem w telewizji pokazują stamtąd wywiad, że dwa okna na pierwszym piętrze to się pali bracie u Kaliskiego. Może rozgadałem się za dużo na jego temat, ale są Polacy, kurcze, z jajami, którzy potrafili robotę zrobić, że Rosjanie tak oczy otwierali i świat podziwiali. I cieszę się, że właśnie stamtąd z honorami odprowadzono mnie, z pierwszego podejścia dostałem się do Związku Polskich Artystów Fotografików. Ale ja nie poszedłem tam z gołymi łapami, tylko jak Lechu wygrałeś FOTOEXPO, międzynarodowy, wielki, na Targach Poznańskich, 6 na 9. Ja mówię: „Co, ja?”. A tam byli i Amerykanie, i Anglicy, a rozmaici byli, nie. Grand Prix - Lech Charewicz. Siadam do restauracyjnego pociągu, jadę, patrzę, siedzi Edward Hartwig, mistrz, mój mistrz. Robił w fotografii, co chciał. Gdyby nie był Polakiem, powiedziałem to kie-



dyś, to by dostał wszystkie nagrody, Pulitzera , te tam rozmaite, jakie tam są. A to powtórzyła wiceminister kultury potem, że pan Charewicz tak zauważył, że powiedział, że tego. Bo tak, rzeczywiście, Hartwig taki był. W ogóle taki ród, ta siostra Zofia, poetka, Zbyszek, operator, następnie brat, wspaniały profesor, kardiolog. Ja nie wiem, jak można tak, ale tak było, no. I koło tych wszystkich ludzi, a u mnie na strych i Połomski przychodził i Braun „Kris”. Przyjaźnił mnie to już od lat 50. Najpierw kapitan, potem major, potem generał „Starba”, cichociemny - Bałuk [nazwisko]. Razem żeśmy, od pierwszej cegły. Ja mam przyjemność powiedzieć, że byłem i służyłem, zimno, nie zimno, na własny koszt przy budowie Pomnika Polskiego Państwa Podziemnego. Poznałem, serdecznie mnie przyjmował w domu swoim. Ja byłem wtedy na odwyku. Panie Lechu, „czerwony wędrowniczek” [gatunek Whisky], ale pan Jerzy Staniszkis, twórca tego pomnika, żołnierz, oficer 1939 roku, wrócił złożyć kości tu i stanął do konkursu. Ja byłem od pierwszego momentu, od wszystkich komisji na Zamku Królewskim, absolutnie ze wszystkimi, całą komisją przy budowie tego pomnika. Jak Małachowski, tam poseł czy nie poseł, nie wiem jak już tam było: „No pozwoliliśmy, żeby tu stanął, bo tu miał być hotel nasz, ale tam urządzenia podziemne są, miejskie”. To sobie pomyślałem: „Kurcze pieczone”. Czwartą co do wysokości w Polsce jest ten obelisk. Profesorowi Staniszkisowi nie dali powiedzieć, umarł. Co to wszystko jest tam? To jest zegar słoneczny, ma przerwę, w krąg są miejscowości, od Wilna przez Rembertów, jak słońce chodzi, to świeci i tym, co zginęli tam i ci, co walczyli tu i tu. A tu na obelisku Virtuti Militari, „Tobie Ojczyzno”. I stoi pomnik. Do dzisiaj ja nie widziałem, mam duży telewizor, jeden, drugi zmieniłem, żeby tak w wolnym tym naszym kraju, tak jeszcze za życia profesor... Ojciec Święty święcił to: „Lechu. Musisz być.”, byłem. Bardzo blisko, zdjęcia są opublikowane u Kopfa w jego albumie, mojego autorstwa. Ojciec Święty święcił, potem poszedł do Sejmu i tam wysłuchał od mniejszości narodowej jakieś uwagi. Bałem się, że się poślizgnie albo coś mu się stanie, bo ten mu tak groził. Potem przyszedł, to jacy czołowi no... Wojciech Zabłocki startował, przecież architekt czołowy. Miałem przyjemność, też żadna gazeta nie napisała ani ja nie widziałem, nie słyszałem, a ja miałem możliwość ucałować rękę, dzięki fotografii, córce Marii Skłodowskiej, Ewie. Bo ona była zaproszona na odsłonięcie tego pomnika Polskiego Państwa Podziemnego i była tu, w Warszawie, córka Marii. Wspaniali ludzie, potem w domu Polonii spotkanie takie jeszcze za ostatnie tam pieniądze, które im zostały, takie podsumowanie tego. Kapitalne rzeczy. Albo na przykład jest taki jeszcze człowiek żyjący z Narodowych Sił Zbrojnych, „Wolność i Niezawisłość”, major Pasieka Jerzy. On odbudowywał praktycznie ze swoimi różnymi ludźmi z fachu Zamek Królewski, gdyby nie on, to Lorenz to wszystko, Giejsztro, to wszystko wspaniali ludzie, ale od góry. Ale żeby ramy zrobić, żeby ten mebel z jednej nogi otworzyć, tak jak tego, to ten Pasieka, on dzisiaj, byliśmy niedawno na wspólnych szczepieniach, przeciw tej chorobie, w takiej izolacji. Rozmawiałem telefonicznie z żoną: „Niech pan do nas przyjedzie”. Cudowny człowiek, naprawdę. I on miał na rynku Starego Miasta, po odbudowie zamku, dostał taką galerię i prowadził, miał masę tam polskiej sztuki, malarstwa, ikony, pięknie. I co on robił? Co tydzień robił spotkania. I była pani Jaworowicz, wyglądająca tak, jak i dzisiaj, ja podziwiam tą redaktor, kochana, cudowna. I ja mówię: „Żeby pani wytrzymała”, ale kiedy to, kilkanaście lat temu. A ona mówi: „Będę to robiła, dokąd mi siły pozwolą”. A teraz słyszę, że tam dołki jakieś kopią, że już na emeryturę powinna iść, jak ona tak ludziom w tym swoim reporterskim wydaniu tak pięknie pokazuje to i broni. Tam poznałem Jurka Połomskiego, przychodził do mnie, fotografowałem go, na strych. Poznałem bardzo dużo ludzi, ale jednego to nie zapomnę, nigdy. Przedstawia mnie pan Pasieka, człowieka i mówi: „Inżynier Isajewicz, »Miś»”. Ten, który faktycznie prowadził i tego zbuja zabił, strzelał do niego.

**Tomasz Sikorski:** Kutscherę.

**Lech Charewicz:** Kutscherę. Skromny i tacy ludzie... Ja mówię do niego, że nigdzie pana nie ma, nie pokazuje się pan... Ale wypikczerowałem, do PAST-y do naczelnego zaniósłem, na okładce był, sprowokowałem, że był 2 lutego na rocznicę zamachu. Byłem na pogrzebie, niestety syn umarł wcześniej przed ojcem, żona tylko przyjechała i mówi, już muszę wracać, lekarka, bo ją puścili w Paryżu na 2 dni tylko wolnego. Mam tego materiału całą masę i teraz jestem w takim stanie bólu wewnętrznego, pomijam finansowe nakłady, bo już nie zarabiam i nie pracuję, ale muszę pilnować tego dorobku, który mam. A mam materiał fantastyczny, bo ja nigdzie w sejmie nie klęczałem przed żadnymi, a do dzisiaj to jest ten zwyczaj, że tam jakiś przemawia i oni go codziennie fotografują po tysiąc razy i ci chłopcy z tymi rurami szarymi klęczą, żeby go zrobić, żeby go tego, żeby go owego. Ja zawsze byłem free, byłem wolny, kiedy na etacie, to na etacie, zrobić robotę dobrą, sfilmować, jak dajmy na to, Polacy robili autobus, jak się gazy rozkładają, jak to, jak owo, to ja miałem Bolexa, miałem AK-16, miałem Arriflexa 16, Linchofa 13 na 18, 6 na 9, ja znam robotę, ja wiem, jak to było, odkładałem tę cyfrę, odkładałem, odkładałem internet, ale wreszcie mój przyjaciel Andrzej Makowski, któremu zostawiłem laboratorium i kierownictwo, on mówi: „Lechu, tam jest tyle ciekawych rzeczy, tam jest taka łatwość”. Ja wszystkie materiały teraz skanuję, robię to już w innej, tej formie cyfrowej, to, coś ty robił, co na tych negatywach i tak dalej. Ale ja jednak, jak ja mam z 1945 roku, mój przyjaciel Stefan Deptuszewski ofiarował mi negatywy, powiedzieli mu w Leśnej Podkowie: „Stefan, ty fotografujesz, jesteś tu w „Obroży”, w AK, jedź, daj świadectwo prawdzie”. I on tam za litr bimbrow na jakiejś ciężarówce z ruskiem przyjeżdżał do Warszawy i pikczerował. Jak na łożu śmierci dał mi te negatywy, jak ja usiadłem, to dosłownie coś we mnie wstąpiło, nakopowałem tego, patrzę, rany! Księdza Ziemca, mój wypalony dom, mój kościół, moja dzielnica i tak, i tak, i tak, a on tam plądrował to wszystko. No coś pięknego. I takich wiele momentów, na przykład jak tutaj urządził Penderecki pierwsze swoje w Lusławicach, posiadał ten dwór, gdzie Malczewski malował, historia, tam koło Zakliczyna, na tej pięknej polskiej ziemi. I ja jestem tam, a tam tak: żona generała Sosnkowskiego, Waldorff, ministrowie, ze świata ludzie, prezydent Litwy, ten, jak on się nazywa, teraz on jest muzykiem... W każdym razie też do niego się zwracam i mówię: „Czemu pan nic nie mówi...”, a ja wiedziałem, bo słyszałem, że mówi po polsku, a on mówi: „Ja słucham, ja słucham.”, ale to były lata 80., tutaj strajki, tutaj te wszystkie historie, to się wszystko przewalało. Nawygrywałem konkursów, w „Stolicy” na przykład, a ja chodziłem przeważnie po godzinach, to w nocy często fotografowałem. 1966 rok, Plac Teatralny, Siemion recytuje 1939 rok, 1 września, Dobrowolskiego, ten wiersz bohaterom Warszawy, pod Sokołem, a ja patrzę na Nike i oczom nie wierzę. A tam biało-czerwona wstążeczka, o taka, tylko szersza, na wietrze tak się powiewa, powiewa. UstawiłemPraktikę, mała klatka, zrobiłem kilka tych zdjęć. Potem z Wałowej, z okna, to mam panoramę na 14 świątyń, na starówkę, te światła były tam, na tysiąclecie państwa sfotografowałem. Plac Zamkowy, jeszcze też tak oświetlony, konkurs w „Stolicy”, „Stolica” to było pismo, na rotograpiurze zdjęcia, mucha nie siada, wszystko, elegancko było to prowadzone. Moczulski, Ostrowski Stanisław, dobrzy redaktorzy. Jest konkurs, wysyłam te zdjęcia, kurcze pieczone... lecę do kiosku, bo już mam być tego, kupuję, otwieram, patrzę, moja Nike, pięknie, moje zdjęcia. Lech Charewicz, pierwsze miejsce. Jestem w robocie, w swoim pokoju, przychodzi wysoki szef, ręce z tyłu, takie „dzień dobry” krótkie. „No co, samochód sobie kupisz Lechu?”. Ja mówię: „Co? Szef przewiduje jakąś podwyżkę?”. A on wtedy mi wyciąga: „A to?”, tę gazetę. A ja patrzę, mówię: „Szefie, nie jeden by dał 500 złotych, pół swojej pensji, co u szefa ma, żeby mieć tam okładkę w świecie albo w świecie rozkładówkę”. A ja mam i się cieszę. Tak że dzięki fotografii przeżyłem fantastyczne rzeczy.